



Qwerty: Historia

Monika Szostek

Monika Szostek

Qwerty: Historia

Tom I

Copyright © 2015 Monika Szostek
All rights reserved.
Ilustracje: GINO

ISBN-13: 978-1502323200



Dla Pati i Jamnika – za długie, wspólne, niedorośle,
wariackie godziny.

Rozdział 3

Angelina

*

Minęły dwa tygodnie. Każdy dzień był tak podobny do drugiego, że Qwerty przestałby je rozróżniać, gdyby nie to, że po każdym jednym zapadała noc. Gibble'owie nie interesowali się nim zupełnie, ale też nie wrzeszczeli na niego. Wuj Donald rzucał tylko czasem cierpkie uwagi pod jego adresem, zwracając się do niego niezmiennie per Sean, a ciotka Adela patrzyła na niego krzywo, jakby był chwastem, którego nie mogła wyplenić. Qwerty opuszczał wtedy wzrok, nie chcąc się narażać na jej gniew. Udowodniła mu bowiem, że może być straszny; za drobne słowo sprzeciwu potrafiła zamknąć go w garażu na dwie godziny.

Ale w myślach odczuwał pewną ponurą satysfakcję: być może był chwastem, ale za to chwastem wartym dla Gibble'ów całkiem sporo...

Czasami ciotka Adela kazała mu coś wyszorować, umyć okna albo wysprzątać salon, ale niewolnicza harówka skończyła się, przynajmniej na razie. Dolores i Sebastian nie nękali go więcej w jego pokoju, ograniczali się jedynie do walenia w ściany w środku nocy, ale temu ich rodzice szybko położyli kres, bo sami nie mogli spać, oraz dręczenia go w ciągu dnia. Od czasu do czasu śledzili chłopca po osiedlu, depcząc mu po piętach i wykrzykując obraźliwe uwagi albo wyśpiewując swoje dwuwiersze, coraz bardziej przykre. Qwerty miał wrażenie, że całą swoją uwagę i wątpliwą inteligencję wyteżają w celu ostatecznego pogwałcenia go nimi. Większość czasu jednak spędzali na włóczeniu się z grupą kolegów i koleżanek, równie przyjaźnie nastawionych do niego, co pies do kota.

Qwerty powoli przyzwyczajał się do tego wszystkiego i docinki Gibble'ów nie robiły już na nim takiego wrażenia, jak na początku. Najwięcej dokuczała mu teraz samotność – nie miał nikogo, przed kim mógłby się otworzyć, z kim mógłby normalnie porozmawiać, pośmiać się, pożartować. Brakowało mu Matta – jego przyjaznych, czasem strofujących, a czasem pobłażliwych spojrzeń, jego poczucia humoru, nagłych ruchów i łagodnego uśmiechu. Tęsknił za panią Hopkins, za jej szerokim uśmiechem, kolegami ze szkoły w Corfe Castle, za spokojem, swoją starą sypialnią, której sufit obity był drewnianą boazerią, a wielki żyrandol zwieszał się z

niego niczym przygarbiony duch, zdający się mrugać do niego przyjaźnie za każdym razem, kiedy Qwerty gasił lub zapalał światło. Z żalem myślał o maleńkim ogródku, różach, które teraz właśnie pachniały najmocniej, o czarnym, słonecznym zegarze, który nigdy jakoś nie wskazywał właściwej godziny (choć wuj Matt odczytywał ją z niego bezbłędnie), o książkach, których nie zdążył jeszcze przeczytać, o portretach, skrytkach, komfortowych fotelach stworzonych specjalnie po to, by usiąść w nich wygodnie z kubkiem herbaty w dłoniach i prowadzić z Matthew Seymorem ożywioną dyskusję na dwa tysiące tematów.

Kiedy wieczorem, próbując zasnąć w swojej niebieskiej klitce, która bardziej przypominała wnękę w ścianie niż pokój, wsłuchiwał się w dudnienie telewizora na dole, przeklinał swój los i zakrywał głowę poduszką, powstrzymując łzy.

Zrobił sobie nawet kalendarz, w którym pieczołowicie wykreślał dni dzielące go od roku szkolnego, chociaż im bliżej było pierwszego września, tym bardziej obawiał się jego początku. W pierwszych dniach, kiedy tu przyjechał, chciał za wszelką cenę wyrwać się z tego domu, ale teraz, gdy Gible'owie dawali mu tyle swobody, że mógł to zrobić i bez szkoły, przestało mu się już tak do niej spieszyć. Tutejsze środowisko już go wyklęło i przeczuwał duże kłopoty...

Tego ranka, kiedy wykreślał w swojej tabeli kolejny dzień, ręka mu zadrżała. Pomyślał, że powinien właściwie zrobić sobie taki kalendarz na pięć lat, bo będą one niekończącym się koszmarem, nawet większym niż obecny. Rzucił w kąt kartkę i długopis, a usta zwęziły mu się w cienką linię. Przeczesał ręką włosy, które teraz urosły mu i sterczały nieporządnie na wszystkie strony. Przymknął oczy, ale zaraz otworzył je z powrotem. Nie, nie chciał teraz o tym wszystkim myśleć. Lepiej nie martwić się na zapas, stanie się to, co się ma stać... Wstrząsnął się i w swoim zwykłym, ponurym nastroju, niezmiennym od czasu śmierci wujka Matta, zszedł na dół.

Po śniadaniu (fasolka, bekon, jajko oraz nieśmiertelne tosty), kiedy Qwerty posprzątał już ze stołu i włączył zmywarę, szybko porwał sweter i wybiegł na dwór zanim ciotka zdążyła mu dać jakąś nową pracę na dzisiaj, jak na przykład przetykanie rur albo odkurzanie domu; ani jedno, ani drugie nie korespondowało dzisiaj z jego stanem ducha. Wolał znosić później jej złość niż teraz zajmować się tym wszystkim. Wiedział, że nie każą mu sprzątać

ulic, bo inni mogliby to zobaczyć. Gible'owie musieli zachować pozory, jeśli chcieli kiedykolwiek zobaczyć pięć milionów funtów, które zostawił im przestępca, Matthew Seymore. Czym prędzej więc uciekł jak najdalej i gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku Gible'ów, zwolnił kroku i odetchnął.

Z prawej strony ujrzał w oknie jedną ze staruszek, które spotkał na ławce w parku i uczucie ulgi ulotniło się z niego jak powietrze z przekłutego balona. Kobieta przyglądała mu się całkowicie jawnie i z taką zawziętością, jakby idąc dokazywał właśnie wyjątkowo bezczelnego aktu wandalizmu, z zamiarem zamordowania kogoś w następnej kolejności.

Qwerty najspokojniej jak mógł skinął jej głową. Ona natychmiast demonstracyjnie opuściła firankę, ale był pewien, że obserwuje go zza niej bez przerwy. Nieznacznie wzruszył ramionami, choć zachowanie starszej pani dopiekło mu do żywego, i poszedł dalej przed siebie, wkładając ręce do kieszeni jeansów.

Pozwalał nogom nieść się tam, gdzie same zechcą. Było mu obojętne gdzie idzie, byleby oddalał się od Pilsdon Drive. I tak wszędzie gdzie się ruszył spotykały go te same wścibskie spojrzenia, jakby okradł co najmniej połowę dzielnicy. Skręcił w prawo, w Culliford Crescent, minął Portesham Way i, całkiem bezwiednie, skręcił na Cheddington Close. Tutejsze domy były, jak wszędzie zresztą, niemal identyczne. Droga pięła się raz w górę, innym razem spadała ostro w dół, ale Qwerty ledwie to zauważał, tak był pochłonięty swoimi myślami. Od tygodni co noc wertował „Historię”, ale z miernym skutkiem. Próbował podstawiać pod różne znaki wszystkie litery po kolei, ale wychodziła mu z tego jedynie bezsensowna mieszanina w rodzaju: „ghjghdytr”, nic więcej. W końcu doszedł do wniosku, że sposób z alfabetem odpada definitywnie i próbował wymyślić coś innego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Rozważał, czy nie jest to po prostu inny język i z każdym dniem przekonywał się, że tak musi być w istocie. Ale jaki język? Wujek Matt pokazywał mu niejednokrotnie, jak wygląda rosyjska cyrylica, chińskie czy koreańskie znaki, alfabet grecki, a nawet znał mniej więcej wygląd niektórych run, bo natrafił kiedyś na książkę o nich, ale to, co było w tym oprawionym w skórę tomie, nie było podobne do niczego, co kiedykolwiek oglądał. I chociaż nie mógł tego przeczytać, nabierał coraz większej pewności,

że jest tam zawarte coś, co ma sens, co więcej: coś, co jest dla niego naprawdę ważne.

Idąc tak, z nosem zwieszonym ku ziemi i rękami w kieszeniach, przygarbiony nieco, nie zwracał uwagi na drogę i niespodziewanie wpadł na kogoś, czy raczej odwrotnie: to ten ktoś uderzył w niego z takim impetem, że Qwerty ledwo utrzymał się na nogach. Nie patrząc nawet, wybąkał słowo „przepraszam” i ruszył dalej, ale czyjś głos powstrzymał go:

-Poczekaj! – zawołał ktoś za nim. – To ty jesteś Sean?

-Nie – warknął i odwrócił się ze ściągniętymi brwiami. Stał naprzeciw niewysokiej dziewczyny. Proste, mysie włosy opadały jej na ramiona; ubrana była w rozwleczone ogrodniczki i wyblakłą, różową koszulkę z wielkim, białym kwiatkiem z przodu. Przez dziurę w trampku prześwitywała biała skarpetka.

-Och, przepraszam... Wybacz, pomyliłam cię z kimś, chociaż... wydajesz się do niego bardzo podobny. Mam na imię Angelina, ale mówią na mnie po prostu Ange – rzekła, podając mu podrapaną dłoń.

-Qwerty – odparł Qwerty, ściskając ją lekko, żeby nie urazić skaleczeń.

-Oryginalne imię. Chyba niedawno się tu sprowadziłeś? Nigdy cię tu jeszcze nie widziałam, chociaż znam większość mieszkańców z tej okolicy. Gdzie mieszkasz?

-Na Pilsdon Drive – odpowiedział niechętnie, chcąc odejść już w swoją stronę i robiąc nawet mały krok do tyłu.

-No to nie pomyliłam się jednak. To ty jesteś Sean... a przynajmniej tak cię nazywają.

-Sean to moje drugie imię, ale nie lubię go – powiedział wyniośle. – Nazywam się Qwerty.

-Przepraszam, że na ciebie wpadłam, ale zagapiłam się i...

-Skoro ci się spieszyło, nie zatrzymuję. Biegnij – Qwerty przerwał jej szybko i zrobił niedbały ruch ręką, jakby odganiał muchę, po czym zrobił kolejne pół kroku w tył. Angelina jednak nie zraziła się tym ani trochę.

-Nie, no skąd! – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Nie spieszyło mi się, po prostu... no, trenuję trochę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przejdę się z tobą.

-Jasne – odparł Qwerty tak zniechęcającym tonem, że każdy dawno by sobie poszedł. Ale Angelina bez wahania dołączyła do niego.

-Więc ty jesteś tym... hm, nowym?...

-Tak, to ja jestem chuliganem wychowywanym przez mordercę, jeśli o to ci chodzi.

-Och, no przestań. Nie chciałam... Wcale nie wierzę w te bzdury, które o tobie wygadują i już dawno chciałam cię poznać – powiedziała Ange z nutką oburzenia w głosie.

-Nie jestem eksponatem w salonie osobliwości – wycedził Qwerty.

-Wiem, mimo to chciałam z tobą pogadać – kontynuowała Ange, nie zważając na grobowy ton głosu swojego nowego kolegi.

-Tylko uważaj, żeby cię ze mną nie zobaczyli, bo już nikt się do ciebie nie odezwie – dodał ponuro Qwerty, gapiąc się pod nogi.

-Wiesz, nie bardzo się tym przejmuję – powiedziała wesoło Ange, kręcąc głową.

Qwerty spojrział na nią spod oka i zniechęcenie malujące się na jego twarzy trochę zmalowało.

-No, dobra, byłam ciekawa co z ciebie za typ – Ange zaśmiała się niepewnie. – Ale wydawało mi się, że to, co o tobie wygadują, to same kłamstwa.

-Bo to są same kłamstwa – powiedział z naciskiem Qwerty.

-Wierzę ci. Uf, ale gorąco. Nie nudzi ci się łązić tak samemu? – Ange zerknęła na niego, zmieniając temat.

-No... Trochę. – Qwerty bezwiednie kiwnął głową, myśląc, że bardzo mu się nudzi i ma serdecznie dość samotności. Nie zauważył, że Angelina uśmiechnęła się do niego szeroko.

-To dobrze, bo już się bałam, że mam sobie iść. Od dawna jesteś w Poole?

-Ponad miesiąc.

-No cóż, lepsze to niż moje trzynaście lat. – zaśmiała się znowu. Tym razem Qwerty odpowiedział jej nikłym grymasem.

-Mieszkasz tu od urodzenia? – zainteresował się.

-Tak. W sumie podobałoby mi się tutaj, no wiesz, blisko do morza, całkiem przyjemna okolica. – Ange potoczyła ręką wokół siebie. – Tylko ludzie są... cóż, bardzo wymagający.

-No, chyba muszę się z tobą zgodzić... - odparł gorzko Qwerty.

-Współczuję. Domyślam się, co czujesz. Każdy, kto jest tu nowy ma przez jakiś czas ciężkie życie, a o tobie krążą na dodatek różne plotki... - zawiesiła niepewnie zdanie, jakby żałując, że je wypowiedziała.

-Na przykład? – Qwerty nachmurzył się znowu.

- E, nie warto mówić, same głupoty... Gdzie mieszkałeś przedtem?
- W Corfe Castle. – Qwerty wiedział, że Ange próbuje znowu zmienić temat.
- Corfe Castle...? Byłam tam kiedyś. To dosyć znane miejsce, prawda? Są tam jakieś ruiny...
- Zamku rodu Banks, podobnie jak Kingston Lacy, zamek należał kiedyś do nich.
- Rzeczywiście. Czytałam o tym. Będziesz tu chodził do szkoły, prawda? – Ange zapytała i Qwerty czuł, że irytuje się coraz bardziej.
- Tak. – odburknął.
- Do Corfe Hills? – pytała dalej Ange.
- Tak. Już mnie tam zapisali. Słuchaj... - Qwerty miał zamiar skończyć rozmowę, ale Angelina mu przerwała:
- No to świetnie. Będziemy w jednej szkole. Może nawet w jednej klasie.
- I co? Cieszy cię to? – wybuchnął w końcu Qwerty, jednak jego nowa znajoma jakby tego nie zauważyła.
- No pewnie!

Milczeli przez chwilę.

- A ty? Gdzie mieszkasz? – zapytał po chwili chłopiec, już łagodniejszym tonem.
- Niedaleko, na Redhoave Road. Chodź, pokażę ci, jeśli chcesz – i nie czekając na odpowiedź, Ange poprowadziła za sobą Qwerty'ego, który wyglądał zupełnie tak, jakby ktoś dał mu właśnie miliony funtów, które zawisły mu ostatnio nad głową. Jednym słowem: był bardzo, ale to bardzo zaskoczony.



Dowiedziałem się już tyle dziwnych rzeczy tego wieczoru – pomyślał – że bez znaczenia będzie czy podniosę tę szklankę czy nie... Czuł się głupio, gapiąc się w naczynie, ale skoncentrował się i powtórzył w myślach „Chcę to podnieść”. Wpatrywał się w szkło kilka sekund i, ku jego zdziwieniu, szklanka zadrzęła i przesunęła się o centymetr.

-Retę... - wyszeptał cicho, zszokowany. - To naprawdę ja?

-Tak. Spróbuj znowu - powiedział John i zachęcająco skinął głową.

Qwerty, już pewnie, skupił się na przedmiocie. To przecież niemożliwe – powtarzał sobie, ale jednocześnie coś mówiło mu, że przecież już prawie to zrobił, wystarczy...

Poczuł, jakby coś nagle zaskoczyło mu w głowie, w żyłach krew pulsowała gwałtownie; słyszał to pulsowanie w uszach. W tym samym momencie szklanka uniosła się nad stół, lewitowała chwilę w powietrzu i upadła, rozlewając większość swojej zawartości na blat.

Qwerty: Historia

Kim jest Qwerty i kim byli jego rodzice?

O czym jest niewielka, napisana szyfrem książka, którą otrzymał w spadku od wuja?

I dlaczego chłopiec znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie?

Jeszcze niedawno Qwerty mieszkał w dużym, staroświeckim domu na południu Anglii, z wujem Mattern, który otaczał go ojcowską opieką. Teraz nie tylko został sam na świecie, ale grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Tylko pomoc przyjaciół i jego ogromny, niezwykle talent mogą uratować go przed Ciemnością...

www.facebook.com/QwertySeymore